



Stanisław Srokowski

część I z VII

Sygnatura notacji: **N0344**

Data urodzenia: **29.06.1936 r.**

Data nagrania: **30.11.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

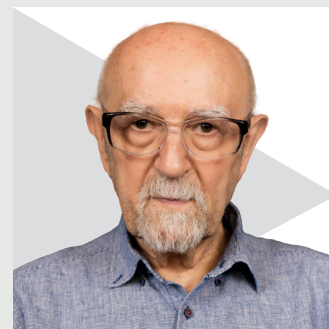
Czas nagrania: **część I: 60min, część II: 58min, część III: 55min,**

część IV: 44min, część V: 60min, część VI: 50min,

Format nagrania: **video**

część VII: 54min

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Srokowski: Nazywam się Stanisław Srokowski. Urodziłem się 29 czerwca 1936 roku, we wsi Hnilcze. To była taka wieś położona na Kresach w województwie tarnopolskim, w powiecie podhajeckim. Była to bardzo duża wieś, która gromadziła w sobie 3,5 tysiąca mieszkańców. Byli wśród nich Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Typowe dla Kresów. Trzeba pamiętać, że Kresy to jest konglomerat wielu narodowości. I moja wioska była jak gdyby takim szczególnym przykładem, ponieważ tutaj, jak wspominałem, były trzy narodowości, ale obok byli tam jeszcze Ormianie, tam gdzie indziej byli Żydzi i tam gdzie indziej jeszcze jakieś inne narodowości. W każdym razie to był taki czas, kiedy ludy między sobą były połączone, porozsiewane mniej więcej w tej samej miejscowości czy obok niej. Trzeba powiedzieć też o tym, że Hnilcze charakteryzowało się jak gdyby takimi właściwościami, które były typowe dla tamtych czasów, to znaczy, jak ludzie między sobą żyli wtedy, na wsi, w okolicy, w regionie, to jest zaskakujące zjawisko, ponieważ każdy z tych ludów miał swoją kulturę, swoje obyczaje, swoje tradycje, swój język, swoje wierzenia i dostosowanie, współpraca, jakieś związki między tymi ludźmi, musiały się tak układać, żeby to było zgodne z potrzebami tej społeczności. A ponieważ każdy z tych narodów miał, jak mówię, swoją tradycję, historię i musiał się zmieścić w jakichś tam ramach czasowych i w ramach historycznych, to w bardzo dużym stopniu to wszystko zależało od tego, jak się układają związki czy współpraca między Polakami, Żydami, Ukraińcami. Za mojej pamięci, a także z pamięci mojego ojca, mojej matki, moich dziadków, na terenie mojej wsi współpraca się układała bardzo dobrze. Nie było żadnych ostrych konfliktów społecznych, politycznych czy narodowościowych. Współpracowali ze sobą na różnych polach, na przykład, kiedy rolnicy wychodzili obsiewać ziemię swoją, byli to chłopcy albo polscy, albo ukraińscy, przeważnie, ponieważ Żydzi raczej mniej zajmowali się rolnictwem, to wtedy wzajemnie sobie pomagali. Czyli było tak, że jak mój ojciec czy mój dziadek, Ignacy, albo drugi dziadek, Piotr, który mieszkał w lesie, pracowali

przy wyrębie drewna na przykład, to Ukraińcy wtedy również im pomagali. Jeżeli Ukraińcy szli na pola kosić zboże, to również Polacy wtedy im pomagali. Kiedy odbywały się na przykład święta Bożego Narodzenia czy Wielkiej Nocy, to bardzo często, prawie każdego roku, te święta były wspólne. Przy stole zasiadali i Polacy, i Ukraińcy, czasami też przychodzili Żydzi. Chcę powiedzieć, że ta atmosfera, bo to jest bardzo ważne, jaka panowała atmosfera, była taka wspólnotowa. Była to atmosfera ludzi, którzy chcą sobie wzajemnie pomagać i są dla siebie życzliwi, i są tacy czuli, rozumieją siebie, akceptują siebie, wspomagają. To bardzo ważne, dlatego żeby zrozumieć, co później, po latach, się zdarzyło, że ta atmosfera zaczyna ginąć i wytracać się. Moja rodzina była dość liczna poza matką i ojcem. Moja matka miała na imię Maria, mój ojciec miał na imię Jan. Byliśmy bardzo mocno związani też z dziadkami, z dziadkiem Piotrem i z dziadkiem Ignacym, a także z wujkiem Marianem i z wujkiem Tośkiem. Mój dziadek Piotr... może powiem tak trochę szerzej, że w ogóle na wsi była bardzo silnie rozwinięta kultura muzyczna, granie na instrumentach. I mój dziadek Piotr był bardzo takim w tej wiejskiej atmosferze człowiekiem, który był szanowany ze względu na to, że miał talenty muzyczne, jak się odbywały jakieś wesela, uroczystości, to grał na tych różnych uroczystościach na swoich instrumentach. Natomiast dziadek Ignacy z kolei miał zdolności rzeźbiarskie, różnego rodzaju ludziki, postacie świętych, tak że miałem w domu jak gdyby taką atmosferę trochę kulturową, ponieważ jeden i drugi dziadek byli bardzo przejęci tym, co robili, to było dla nich bardzo ważne i bardzo szanowali tę swoją pracę. Mój ojciec był rolnikiem, moja matka oczywiście współpracowała z ojcem na polu. To było niewielkie gospodarstwo, pięć do ośmiu morgów, bo wtedy były morgi, a nie hektary. I ziemia była uprawiana tradycyjnymi metodami. To było ważne, dlatego że cywilizacja nie była na takim poziomie, że na przykład sztuczne nawozy czy tego typu rzeczy się wtedy pojawiały, to było wszystko naturalne. Atmosfera w domu, jak pamiętam, która mnie towarzyszyła, polegała na tym, że po prostu ja byłem ciągle wprzęgnięty w taki kierat pracy. To znaczy dom to była praca. To była praca w domu, praca matki, praca ojca, praca dziadków. Kiedy szliśmy na pole, to zwykle rodzice mnie zabierali ze sobą. Też towarzyszyłem im przy żęciu zboża, przy koszeniu, przy zbieraniu tego zboża. To był taki jednolity ciąg różnych działań i różnych prac, w których dziecko na wsi zawsze uczestniczyło, i to było bardzo ważne dla mojego wychowania także, bo zaczynałem szanować to, co robi mój ojciec, co robi moja matka, co robią dziadkowie. Czyli równocześnie to był taki proces wychowawczy. Czułem się w tym jako członek pewnej społeczności odpowiedzialny za całość. To znaczy już w moim takim bardzo młodym, wczesnym wieku, kiedy miałem cztery, pięć, sześć lat, miałem poczucie, że należę do świata, który jest ważny, i w tym świecie trzeba żyć, trzeba się łączyć, trzeba wspomagać, trzeba jednoczyć się razem z tą moją grupą, z sąsiadami i z okolicznymi miejscowościami, kiedy wędrowaliśmy gdzieś tam z jednej wsi do drugiej wsi. Warto też powiedzieć, jak wyglądała ta moja wieś, bo ona trochę się różniła może od innych. To była wieś, która przede wszystkim posiadała takie centra swoje kulturowe w zależności od tego, kto je uprawiał. Ukraińcy mieli swój dom ludowy, Polacy mieli swój dom ludowy. Był kościół, była cerkiew, była bożnica żydowska, była drużyna strzelca „Strzelca”, była biblioteka, była świetlica, było przedszkole, była szkoła. Tak że to była na poziomie kulturowym dość wysoko postawiona społeczność. Moja matka należała do chóru.

Artur Kłus: Ilu mieszkańców?

Stanisław Srokowski: Wieś była duża, to była jedna z największych wsi na Kresach, 3,5 tysiąca mieszkańców. Jeżeli idzie o podział między Ukraińcami a Polakami, to mniej więcej było pół na pół. W różnym okresie... W latach 20. więcej było Ukraińców, Rusinów, bo to jeszcze trzeba odróżniać te dwa pojęcia, ponieważ pojęcie „Ukrainiec”

pojawiło się trochę później. Tak że tu byli i Rusini, i Ukraińcy, a później dopiero ci Rusini przekształcali się w Ukraińców. Tych Ukraińców było, jak mówię, w latach 20. więcej, natomiast w latach 30... Polaków było w latach 20. więcej, natomiast Ukraińców było więcej w latach 30. Ale mniej więcej to była równowaga, 3,5 tysiąca, wspólnie, to gdzieś tak 1500 i 1500, plus tam dodatkowo byli jeszcze Żydzi. Żydzi rolnictwem się nie zajmowali, zajmowali się głównie handlem no i była karczma oczywiście, posiadali swoje sklepy. Właśnie ciekawe zjawisko związane z tymi sklepami. Było dziesięć sklepów w mojej wsi i one były jak gdyby tak równolegle podzielane, były trzy sklepy żydowskie, trzy sklepy polskie, trzy sklepy ukraińskie. Można w tych sklepach było dostać wszystkie towary, które były ważne dla rolników, a więc takie podstawowe, niezbędne, ser, masło, jaja i tak dalej, owoce czy inne produkty. Może warto też powiedzieć, że to był nie tylko ten obraz aktualny, współczesny, to była jak gdyby tradycja. To, co przed chwilą wymieniłem, to już było wcześniej dziesięć, dwadzieścia i pięćdziesiąt lat. Tak że to się jak gdyby wiązało z pokolenia na pokolenia, każde pokolenie coś tam od siebie dodawało. Jeżeli idzie o sport, to była głównie piłka siatkowa i piłka siatkowa stanowiła taki fascynujący przykład łączenia młodego pokolenia. Zarówno Ukraińcy, jak i Polacy, i Żydzi grali w piłkę siatkową. Był straż pożarna i tam koło tej straży pożarnej znajdowało się boisko siatkowe. Co ciekawe, nie było wtedy piłki nożnej. Piłka nożna tam, w mojej wsi, ale chyba w ogóle na Kresach, była mniej znana. Oczywiście różnego rodzaju obrządki towarzyszyły życiu wiejskiemu i jeżeli się odbywały jakieś uroczystości religijne, to uczestniczyli w tych uroczystościach zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. Wydaje mi się, że ten obraz takiej trochę Arkadii czasami może sprawić wrażenie, że to jest nieprawdopodobne w kontekście późniejszych zbrodni, a jednak okazuje się, że to było prawdziwe, że to było rzetelne, to było autentyczne. Dodam, że jeśli idzie o szkołę, to szkoła wiejska miała pięć klas i do tej szkoły chodzili zarówno Polacy, jak i Ukraińcy, jak i Żydzi. Była nauka religii. Pop uczył dzieci ukraińskie, natomiast ksiądz uczył dzieci polskie, ale czasami zdarzało się tak, że na przykład zabrakło popa, bo zachorował, albo z innych powodów nie mógł być na zajęciach, to wtedy zastępował go ksiądz i uczył dzieci ukraińskie także, zgodnie oczywiście z ich programem. Ja miałem, to bardzo ważne dla mnie, miałem dwóch przyjaciół w dzieciństwie. Miałem przyjaciela Ukraińca, Sławka, i miałem przyjaciela żydowskiego, Berka. Zarówno jeden, jak i drugi byli dla mnie bardzo ważni. To było dzieciństwo wplecione w zabawy, w gry, w bieganie, włóczenie się po okolicy i zarówno Berko, jak i Sławek zawsze byli przy mnie. Kiedy była potrzeba, żebym ja się znajdowała w ich otoczeniu, to natychmiast się pojawiałem. To było naturalne, po prostu pukało się do drzwi i mówiło się, chodź, pójdziemy, pobawimy się, pogramy, pójdziemy na pole, pójdziemy zobaczyć, jak ptaki wyglądają, pójdziemy zobaczyć, jak rzeka płynie, ponieważ w pobliżu był strumyk. Tak że to moje dzieciństwo w połączeniu z tymi przyjaciółmi było bardzo ciepłe i bardzo takie sympatyczne, i życzliwe. I to trwało przez długi okres, dopóki nie nadeszły te straszliwe czasy, kiedy dochodziło do tych strasznych zbrodni. Także kulturowo, cywilizacyjnie moja wieś była dość wysoko postawiona. Mogę tylko dodać jeszcze, że była na przykład cegielnia. To już był taki znak, że z własnych produktów można budować domy, mieszkania, stodoły, stajnie. Jeżeli idzie o budownictwo, to domy były budowane głównie z gliny połączonej z innymi elementami i kryte strzechą. Rzadko się zdarzało, żeby były kryte blachą, a jeszcze rzadziej, żeby były kryte dachówką. Ale zawsze to były domy ciepłe, dobrze ogrzewane, zawsze w takim domu był piec. Na przykład mój dom wyglądał następująco. Była to jedna izba, taka dość spora izba, i ważne były tutaj meble. Na przykład w wiejskich chatach nie było szaf. Wiejskie chaty na ogół składały się nie z szaf, tylko z kufrów. Kufer to było takie wielkie pudło, w którym umieszczano się bieliznę i najrozmaitsze niezbędne rzeczy, jakieś dokumenty, jakieś cenne przedmioty. Kufer posiadał też taką rolę tablicy kronikarskiej. To jest bardzo ważne, dlatego że ludzie wtedy, przeważnie na wsi, w nie najwyższym stopniu posiadali zdolność pisania, ale zawsze ktoś w tym rodzinie

potrafił pisać i potrafił czytać. I ten, który potrafił pisać i czytać, był takim kronikarzem domowym. W moim domu takim kronikarzem domowym była matka, ale też ojciec, zarówno ojciec, jak i matka potrafili pisać, ponieważ chodzili do szkoły podstawowej, pięcioklasowej, i te 2–3 lata zaliczyli, i potrafili władać piórem czy ołówkiem. I zapisywali na tych meblach, na tym kufrze, najważniejsze daty z życia swojego, a także życia rodzowego czy życia wsi. Jeśli chciałbym podać przykłady, to one wyglądały mniej więcej następująco. Mama zapisywała, że: „29 czerwca 1936 roku urodził się syn, Stanisław”. I to już była bardzo ważna data, która pokazywała jakiś ważny element życia domu, ale też były czasami zapisy dość z punktu widzenia dziedzicznego zabawne. Na przykład: „wieziemy na targ prosiaki” i zapisywano datę: „30 maja 1943 roku”. Albo „wybuchła wojna”, i był tam zapis. Tak że ten przedmiot stanowił taką bardzo ważną kronikę. Na chwilę oddalę się od tego wątku, żeby powiedzieć, jak bardzo ważny to był przedmiot. To stanowi zainteresowanie reżysera. Kiedy kręciliśmy film „Wołyń”, to reżyser wprowadził ten kufer do swojego filmu jako jeden z elementów kultury ludowej, tak że to bardzo ważny przedmiot. A poza tym, co, było łóżko oczywiście, były ławy, nie było takich tradycyjnych krzesel, chociaż w niektórych domach one się pojawiały, ale na ogół to były ławy, które były rozstawiane po kątach. Była grubka tak zwana, grubka, czyli piec i zapiecek. Zapiecek był ważnym elementem domu, dlatego że on nie tylko ogrzewał mieszkanie, oczywiście to służyło głównie do ogrzewania domu, mieszkania, pokoju, izby, ale także to było bardzo ciepłe miejsce dla mnie na przykład, dla dziecka, ponieważ tam był taki kącik, w którym, kiedy byłem bardzo zziębnięty, mogłem się położyć, odpocząć i znaleźć dla siebie miejsce. Oczywiście była też sień, w której znajdowały się jakieś łopaty, narzędzia niezbędne do prowadzenia domu czy do prowadzenia gospodarstwa. To jest istotne o tyle, żeby zrozumieć, jak wyglądało życie na wsi, jakie były realia. Oczywiście nie było prądu, nie było światła elektrycznego, była za to lampa, lampa naftowa, która zwykle wisała na ścianie albo znajdowała się na stole. W przypadku, kiedy zabrakło na przykład nafty, bo zwykle była wykorzystywana tutaj nafta, kiedy zabrakło nafty, to oczywiście wtedy były świece. Mimo że wydaje się z dzisiejszego punktu widzenia, że to wszystko było bardzo prymitywne i takie anachroniczne, to to tworzyło bardzo dobrą atmosferę. Lampa świecąca przy ścianie czy lampa stojąca na stole, to był taki symbol jak gdyby ciepła, sympatii, jakiegoś takiego zbliżenia. Ludzie siedzący wokół takiej lampy czuli się bliżej siebie. Ta lampa wytworzyła ten klimat. Trzeba powiedzieć też o zimach na Kresach i też zimach w mojej wsi. Pamiętam taki wypadek, kiedy śniegi sięgały dachu domu. Zdarzyło się raz takie wydarzenie, było takie wydarzenie, kiedy śnieg zasypał całkowicie nasz dom i kiedy rano wstaliśmy, trzeba było jakoś wyjść, no to wtedy należało trochę poczekać, aż ten śnieg stopnieje, a to by trwało jednak przez dłuższy czas, w związku z tym przy pomocy łopaty otwierały się drzwi i jak chciał ojciec wyjść z chaty do stajni czy do stodoły, bo obok chaty, obok domu, była jeszcze stajnia i stodoła, to wtedy trzeba było wykopywać taki tunel i tym tunelem szło się... Najpierw trzeba było ten tunel wykopać, a później intuicyjnie iść w kierunku stajni albo stodoły. Ja Sam pamiętam ten czas, kiedy ojciec kopał, ja mu towarzyszyłem jako trzy- czteroletni chłopak i dochodziliśmy do stajni czy do stodoły. Było przy tym trochę grozy, ale też trochę zabawy, bo ludzie wystawiali później głowę nad te tunele i jeden do drugiego krzykali: „Jesteś? Żyjesz?” – „Żyję, tak”. „U was w porządku? Tak”. Idziemy dalej. I ludzie między sobą też zaczęli kopać te tunele. Oczywiście obok tych elementów takich trochę komicznych była też groza i lęk, dlatego że na przykład kiedy temperatura dochodziła do 25–30 stopni, było bardzo zimno, wtedy był problem, jak się ubrać, w co się ubrać, to zwykle ludzie mieli tam jakieś szale, jakieś tam płaszcze, czasami jakieś skóry, i tym się utulali, i wychodzili na zewnątrz, i jakoś sobie wtedy radzili, bo mimo zimy trzeba było krowę napoić, krowom dać jedzenie, jakoś tam przy koniach uprzątnąć. Tak że praca, przez chwilę zastanówmy się przy pracy. Praca była tym czynnikiem, który łączył ludzi. I to nie tylko był wysiłek, to nie tylko było zmęczenie, wyczerpa-

nie, ale to też było takie jednanie. Jeżeli my sobie nie radziliśmy z własnym gospodarstwem, to wtedy pomagali nam Ukraińcy. Jeżeli Ukraińcy, to wtedy mój ojciec szedł, mój dziadek, dziadek Ignacy czy dziadek Piotr. Tak się właśnie żyło na wsi i to było z pokolenia na pokolenie, ta tradycja przesuwiała się w czasie. Ja mimo upływu tylu lat, kilkudziesięciu lat, żyjąc w trzech epokach, bo żyłem w okresie przedwojennym, żyłem w okresie komunizmu i żyję w nowej rzeczywistości, mimo że poznałem różne style życia, różne sposoby egzystencji ludzkiej, to z dużym sentymentem i z dużą wrażliwością wracam ciągle do tego mojego dzieciństwa, ponieważ tam się kształtowała moja wyobraźnia, mój język, moja pamięć, moje widzenie rzeczywistości no i tam się później kształtowały moje pierwsze lęki, moje pierwsze obawy, moje pierwsze strachy i moje przerażenia, i groza życia, tak że wieś właściwie budowała moją tożsamość i ja bardzo silnie w tej chwili podkreślam ten pierwiastek wiejski, ponieważ on właśnie budował moją egzystencję. Bardzo czule wspominam przede wszystkim dziadka Ignacego i dziadka Piotra, bo obaj wnieśli do mojego życia ten pierwiastek kulturowy. Uczyli mnie grać na przykład na cymbałach, bo wtedy cymbały były takie modne na wsi. Mój dziadek grał na skrzypcach i próbował także tę wiedzę wprowadzić do mojego życia. Drugi dziadek z kolei, jak wspominałem, był rzeźbiarzem ludowym, no to też kształtował moją wyobraźnię i budził taki smak estetyczny. Tak że to było bardzo ważne. Ja podaję dwa przykłady, dziadka jednego i dziadka drugiego, ale na wsi takich dziadków było wielu. Każdy z nich miał tam jakieś swoje pasje, każdy czymś się tam interesował. Był dziadek, który na przykład... na wsi, pamiętam, jakiś taki starszy mężczyzna, nie pamiętam nazwiska jego, Polak, który lubił opowiadać. Chodził po wsi, chodził od jednego domu do drugiego i najrozmaitsze historie opowiadał. Kiedy przychodził do naszego domu, to się gromadziła grupa ludzi, żeby posłuchać tych jego opowieści. A to o wojnie, a to o wydarzeniach jakichś dawnych, a to o przygodach, a to o miłościach. To był rodzaj takiego telewizora współczesnego, kiedy ludzie się zbierają i gromadzą. Dodam jeszcze o jednym bardzo ważnym elemencie, który szalenie istotny był, mianowicie Rada Starszych. Co to była Rada Starszych? Rada Starszych to byli najstarsi członkowie rodu i kiedy dochodziło do jakichś bardzo ważnych wydarzeń, to zbierała się Rada Starszych, żeby podjąć decyzję. Jeżeli na przykład był jakiś konflikt rodzinny, to wtedy Rada Starszych rozwiązywała ten konflikt rodzinny. Zbierała się grupa ludzi, która z jednej strony wyjaśniała stanowisko, jakie zajmuje, druga strona zajmowała swoje stanowiska, a Rada Starszych rozsądzała. Natomiast Rada Starszych w późniejszym okresie, kiedy nadeszły te czasy grozy, niepokoju i zbrodni, to Rada Starszych już podejmowała decyzje o tym, co robić i jak się zachowywać, w jakim kierunku prowadzić dalsze życie, ale o tym powiem w następnym odcinku.

Artur Kłus: Czy ta Rada była też kulturowo mieszana?

Stanisław Srokowski: Nie, to była rada rodzinna, nazwijmy to. Jeżeli w radzie rodzinnej był członek innego plemienia czy innej kultury, to oczywiście on także uczestniczył. Bo pamiętajmy, trzeba to dodać, że były małżeństwa polsko-ukraińskie, polsko-żydowskie, polsko-białoruskie czy polsko-ormiańskie i wtedy, jeżeli ktoś z tych członków wywodzących się z innego etnicznego pnia znajdował się w rodzinie, to on na tych samych prawach towarzyszył tej radzie rodziny. W moim przypadku tego nie było, ponieważ zarówno mój ojciec, mój dziadek Piotrek i dziadek Ignacy byli czystej krwi Polakami i oni, a także ciotka Elza, czy wujek Marian, czy wujek Tośko, oni byli Polakami i oni uczestniczyli w tych szczególnych radach, które podejmowały najważniejsze decyzje w sprawach rodu. Czy w sprawach rodziny, czy w sprawie całego rodu. Tak to się toczyło nasze życie do 1939 roku, kiedy wybuchła wojna. I tutaj zaczyna się drugi etap mojego doświadczenia, dzieciństwa. Ja się urodziłem, jak przypominam, w 1939 roku,

więc do wojny 1939 roku, to był 1936, 1937, 1938, 1939, 1940 rok, czyli miałem trzy lata z kilkoma miesiącami. Kiedy wybuchła wojna, to oczywiście od razu na wsi zapanowała atmosfera lęku i grozy, i przerażenia, ale ta wojna jeszcze do nas nie docierała, ta wojna napaści Niemiec na Polskę, ponieważ my nie wiedzieliśmy o niej, ponieważ, i to trzeba dodać, ludzie na wsi, niektórzy ludzie... bogatsi ludzie mieli radio, a jak mieli radio, to oczywiście informacja docierała, jak docierała do jednego gospodarza, to oczywiście przedostawała się do innych domów i wszyscy już wiedzieliśmy, co się dzieje, i wtedy oczywiście zapanował lęk, i już ludzie jak gdyby byli inaczej nastawieni do tamtej rzeczywistości, ale jeszcze nie było źle, jeszcze było w porządku, jeszcze bomby nie spadały, jeszcze nikt nikogo nie mordował, 1939 rok, ale niestety już odczuliśmy w naszej rodzinie nadchodzącą grozę, kiedy ojciec mój został powołany do wojska, to chyba był lipiec albo sierpień 1939 roku. No i kiedy wybuchła wojna, to już mój ojciec był na wojnie. Zostałem z matką. I to był ciężki okres. Pamiętam płacz matki, pamiętam wyrazy współczucia sąsiadów. To był taki dla mnie też... Pamiętam, że się po kątach chowałem, bo czułem nadchodzące jakieś niebezpieczeństwo. Już się mówiło o wojnie, już się mówiło o tym, że nadchodzi zło, które może nas zniszczyć, ale już taki widomy, taki najbardziej przerażający znak tej wojny nadszedł wtedy, kiedy ojciec wrócił z frontu, kiedy wrócił z wojny, a wrócił z wojny niedługo po rozpoczęciu tej wojny, kiedy... To był chyba, tak jak sobie przypominam, październik 1939 roku, więc ojciec był na froncie mniej więcej dwa-trzy miesiące, kiedy Polska padła, kiedy wojsko polskie przegrało te bitwy, ojciec wrócił do domu i pamiętam tę scenę do dzisiaj, to był obraz dla mnie dość okrutny i dość bolesny, bo pojawił się w drzwiach mężczyzna, którego nie poznałem, był zarośnięty, dziki, ze spalonymi rękawami, poplamiony, jakaś twarz osmalona. Matka też stanęła, nie do końca rozpoznała, kto to jest, zarośnięty, ale w końcu poznała, że to ojciec, i pamiętam, że mówi do mnie: „Stasiu, to twój tato”. Ojciec podszedł do mnie, wziął mnie za ręce i podniósł do góry, ten obraz pamiętam do dzisiaj, i przycisnął mocno do piersi. No a później zaczął opowiadać, co się z nim działo. Oczywiście jako dziecko tej opowieści dokładnie nie pamiętałem, ale ponieważ ta opowieść była powtarzana wielokrotnie, ponieważ jak tylko ojciec wrócił, to zaraz pojawili się dziadkowie, wujkowie, rodzina i zaczęła się opowieść. I ojciec zaczął opowiadać, co się działo na wojnie i jak dotarł do domu. I ta opowieść była powtarzana wielokrotnie, tak że ją zapamiętałem i do dzisiaj bardzo dokładnie ją pamiętam, co to było, co ojciec przeżył i dlaczego tak wyglądał. Otóż okazało się, że on wraz z grupą innych żołnierzy wracających z wojny, żołnierze rozproszyli się po przegranej bitwie w różnych miejscach, czasami pojedynczo wracali do domu, czasami grupą, mój ojciec wracał z kilkoma innymi żołnierzami w stronę powiatu Podhajce, do mojej wsi, do Hnilcza. To była nieduża grupa, pięciu czy sześciu żołnierzy. Byli bardzo zmęczeni, wyczerpani, ponieważ to trwało już kilka dni, głodni, zarośnięci, brudni. I zobaczyli w pobliżu ich marszu, stojącą poza jakąś wsią, do której się zbliżali, stodołę. Byli tak wyczerpani, że padli od razu na ziemię, ale mój ojciec jako jedyny z tej grupy wszedł na stóg słomy w tej stodołę, na górę, też tam padł i zasnął. I to nam później ojciec opowiadał. Zasnął i obudził go straszliwy krzyk i wycie. Ryk. Jęki. Płacz. Groza. Podniósł głowę i z góry zobaczył, co się dzieje na dole. Na dole stała grupa tęgich ludzi, mężczyzn, z siekierami, z nożami i z widłami, i mordowali jego kolegów, mordowali tych żołnierzy. Ojciec był bezradny, bo gdyby się odezwał, byłby też zamordowany, a nie mógł pomóc, ponieważ był sam. Patrzył na to z góry, cierpła mu skóra, był przerażony, ale nie miał wyjścia. Kiedy mord się skończył, bandyci, mordercy podpalili słomę, podpalili stodołę, i wyszli. I ojciec odczekał chwilę, aż oni się oddalą, zsunął się z tej słomy, stąd były później te opalone rękawy, opalony płaszcz, drugimi drzwiami wy dostał się ze stodoły, odczekał, aż tamci się oddalą, no a później zaczął szukać drogi do Hnilcza. Szedł jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie trafił do naszego domu. I to jest ten moment, który w dużym stopniu zauważył o tragedii, która odbiła się na mojej wyobraźni. To był znak, że idzie zło i że idzie nieszczęście do nas, i że ono już

jest bardzo blisko. Ojciec opowiadał, że po drodze zdarzały się takie wypadki, że były napady na innych żołnierzy, że były mordowania tych żołnierzy, no ale takie grupowe pierwsze mordowanie to było to właśnie, które nastąpiło, kiedy ojciec był świadkiem tego mordu. Na marginesie dodam, że kiedy po wielu latach Smarzowski robił film „Wołyń” i pytał mnie o tamto doświadczenie, ja mu opowiedziałem tę scenę i ta scena weszła do filmu Smarzowskiego. Ona jest na początku tego filmu, kiedy grupa żołnierzy wraca z wojny i zostają zamordowani w ten sposób, w jaki ja opowiadam. To jest dokładna opowieść związana z relacją mojego ojca, który wtedy właśnie wrócił z tego frontu.

Artur Kłus: Co ojciec opowiadał właśnie, jak to wyglądało?

Stanisław Srokowski: Tak, to ojciec właśnie opowiadał w październiku 1939 roku. I to była właściwie taka pierwsza opowieść, to był pierwszy obraz tej zbrodni, z którą ja oczami dziecka spotkałem się. Mimo, że wtedy miałem niewiele, trzy i pół roku, to ten obraz, ta groza, ten widok tej stodoły, bo ojciec bardzo dokładnie opowiadał, bo widział z góry wszystko, te noże, te widły, te łopaty, te siekiery, i to w mojej pamięci pozostało już na zawsze. To musiało się odbić na mojej wrażliwości, na moim odczuwaniu świata. I to był taki ból, który był nie do zniesienia, ponieważ na to nie było rady. Nie można było sobie z nim jakoś poradzić, nie można się było od niego uwolnić. Już z tym żyliśmy, i matka, i ojciec, i dziadkowie, i cała rodzina, i cała wieś, bo wszystko to zaraz rozeszło się. I wiedzieliśmy, że to nic dobrego nie znaczy, że zbliża się jakieś nieszczęście. Niedługo musieliśmy czekać. Niedługo musieliśmy czekać. Ale może dodam, że to było w październiku i jak ojciec opowiadał o tej historii, to moja matka zaczęła mu opowiadać, co u nas się działo. Bo ojciec pytał, co u was, jak życie, co się stało w tym czasie. I matka zaczęła opowiadać o tym, co myśmy przeżyli. I właśnie teraz chcę opowiedzieć to, co myśmy przeżyli, kiedy ojca nie było. 17 września 1939 roku Sowieci napadają na Polskę. Tego samego dnia, i to jest bardzo ważne, to zmienia optykę na tamte wydarzenia, tego samego dnia Ukraińcy uderzają w polskie wioski. Zaczynają się mordy. My wiemy na ogół, już po latach, poznając historię, że został wymordowany Wołyń, że Wołyń stał się ofiarą rzezi ukraińskich. I ginie w ten sposób początek tej zbrodni. A początek tej zbrodni właśnie jest 17 września 1939 roku. Dlaczego ja o tym mówię dokładnie? Dlatego że ta zbrodnia odbyła się niedaleko mojej wsi. Moja wieś, jak mówię, Hnilcze, a obok tej wsi, to była trzecia czy czwarta wieś na północ, była taka wieś Sławentyn. Tam mieliśmy też swoich znajomych i krewnych. I 17 września 1939 roku, i to moja matka opowiada ojcu, wszyscy oczywiście w tym uczestniczymy i słyszymy, opowiada, co się zdarzyło. A zdarzyło się to, że Sowieci napadają, powtarzam, na Polskę, a Ukraińcy tego samego dnia, 17 września 1939 roku, uderzają na wioskę Sławentyn. To była polsko-ukraińska wieś. Uderzają z całej mocy, ale nie od razu, nie rano, nie w południe, a dopiero wieczorem. Po latach dowiadujemy się, jak to było, ponieważ jeden ze świadków żyje, kobieta, która opowiada tę historię, mówi w ten sposób, że wyszła do sklepu po południu. Kiedy wraca ze sklepu w Sławentynie, widzi na rogatkach domu grupę Ukraińców, swoich sąsiadów, którzy stoją z łopatami i widłami. I ona się zastanawia, młoda kobieta, zastanawia się, co to znaczy, dlaczego wieczorem, pod wieczór, mężczyźni stoją z łopatami i z widłami na rogatkach domu, nie kłaniają się jej, mimo że to jest sąsiadka, do tej pory kłaniali się, ona opowiada, że zimnymi oczami patrzą na nią i milczą. I ona wraca do domu, i to, co widzi, opowiada swojej rodzinie. Wszyscy zastanawiają się, co to może być. Niedługo musieli się zastanawiać, ponieważ po kilku godzinach usłyszeli straszliwy hałas, szum, krzyk, wycie i po chwili, ta kobieta zostaje uderzona widłami w kark, w szyję, traci przytomność, pada na ziemię. Ona to później relacjonuje, stąd ta opowieść. Znaczą jej córka relacjonuje to, co ona opowiadała. Ta wieść o tym, co się zdarzyło, później się przenosi do naszej wsi. Co się zdarzyło? No zaczynają mordować Polaków.

Ta kobieta była jedną z pierwszych ofiar we wsi Sławentyn. Później idą od domu do domu i mordują po kolei. W sumie zostało zamordowanych w Sławentynie, jak już później dowiedzieliśmy się, około osiemdziesięciu pięciu Polaków.

Artur Kłus: Świadkiem, który to opowiadał, była córka tej kobiety?

Stanisław Srokowski: Świadkiem, który to opowiadał, była córka tej kobiety, tak. To była córka tej kobiety, matka to opowiedziała, a ona to później przekazała, tę informację, ludziom. A później to zapisała i opowiedziała dalej. I to, co się zdarzyło w Sławentynie 17 września 1939 roku, już następnego dnia dostało się do Hnilca. Już w Hnilcu wiedzieliśmy następnego dnia. Nasz krewniak ze wsi Panowice, to była taka wieś obok naszej wsi, typowo polska, ponieważ miał tam znajomych bliskich i krewnych, postanowił pojechać wozem i dowiedzieć się. I on później w swoich relacjach właśnie o tym mówi, że zaprzęgnął konie, wsiadł na wóz i pojechał w stronę tej wsi. Ale niedaleko tej wsi zatrzymali się z jakichś tam powodów, jechała z nim jakaś kobieta, która mówi, ona wysiądzie tutaj, bo chce tam pójść do jakiejś najbliższej rodziny, zaraz wróci. Okazało się, że już nie wróciła. I wtedy ten nasz krewniak, zresztą Stanisław Srokowski ze wsi Panowice, wrócił i opowiedział, co się zdarzyło. Czyli mamy już jak gdyby drugiego świadka, tamten świadek autentyczny, czyli córka tej pani, która widziała początek tej zbrodni, no i mój krewniak, który z Panowic pojechał w tamtą stronę, ale musiał wrócić, bo po drodze zaczęli mordować. Tak że historia mordu zaczęła się nieść poprzez opowieści i przekazywana była ze wsi do wsi. Następną wioską tego samego dnia wymordowaną, w powiecie Podhajce, dodam, że to się wszystko dzieje w powiecie Podhajce, zarówno Hnilcze, jak i Sławentyn, jak i nowa wioska, która staje się ofiarą mordów, to są Szumlany. Tutaj też Ukraińcy napadają na Polaków, ale trochę się nawet bawią tą napaścią, napadają na kościół, wpadają do tego kościoła, grabią ornaty, grabią szaty liturgiczne, grabią naczynia liturgiczne i zaczynają się nad nimi znęcać, uderzają w ziemię, krzyczą, bawią się tym, później wsiadają na konie, nakładają szaty liturgiczne na siebie i jadą przez wieś, stają się bohaterami wsi i to wszystko jest odnotowane przez pamięć wieśniaków, którzy to wszystko widzą, później przekazywana dalej. Więc druga wieś, która została wymordowana w tym samym czasie, to są właśnie Szumlany i te mordy zaczynają iść od wsi do wsi. To jest właśnie początek rzezi ukraińskiej i to jest początek ludobójstwa ukraińskiego. Nie Wołyń, bo Wołyń dopiero będzie w 1943 roku. Później dowiedzieliśmy się oczywiście o innych mordach, które objęły inne wioski, tak jak później wieś gminna niosła, a także później historyczne zapisy, z których dowiedziałem się w późniejszym okresie, jak wieś gminna niesie, zostało wymordowanych około pięćdziesięciu paru miejscowości, w powiecie Podhajce, w powiecie Brzeżany, w powiecie Buczac. W tych trzech powiatach województwa tarnopolskiego rozpoczął się akt ludobójstwa ukraińskiego. Ofiarami tego ludobójstwa, to z późniejszych badań wynika, padło około 8 tysięcy, niektórzy nawet mówią: 10 tysięcy Polaków. I to jest początek zbrodni ukraińskiej, to trzeba wybijać wszędzie, gdzie się da, dlatego że jest zafałszowany obraz tamtej zbrodni, ponieważ, jak mówię, Wołyń to jest dopiero 1943 rok.

Artur Kłus: A czy już wtedy, czyli jesienią 1939 roku, czy ojciec, czy właśnie ci, którzy przychodzili i opowiadali, przekazywali, jak te zbrodnie wyglądały i czego dopuszczali się Ukraińcy już jesienią 1939 roku?

Stanisław Srokowski: Tak, jak nastąpiła ta zbrodnia w Sławentynie, a później w Szumlanach, a później w Bokowie, to jest też kolejna wioska, na północ od nas, wszystko było bardzo niedaleko, tak że następnego dnia lub kolejnego dnia te wieści do nas już docierały, że Polacy są mordowani, to oczywiście zbierała się znowu Rada Starszych i radziła,

co z tymi wieściami, co z tymi opowieściami zrobić. Oczywiście była groza, był lęk, był strach, tym bardziej, że to było blisko. Ponieważ to były mniejsze wioski od naszej, bo zastanawialiśmy się, to znaczy starsi zastanawiali się, Rada Starszych, dlaczego na przykład nie Hnilcze, a tamte wioski. Przede wszystkim dlatego, że one były mniejsze, tam było znacznie mniej Polaków, tam było kilkudziesięciu, natomiast Hnilcze było potężną wioską, więc żeby na taką wioskę napaść, trzeba byłoby przygotować się bardziej starannie. Tak że oczywiście ludzie sobie to opowiadali i już powoli zaczęliśmy się przygotowywać do obrony. Jak? No ta obrona była niezwykle trudna, ponieważ wojska nie było, policji nie było, samoobrona jeszcze nie była przygotowana, nie była zorganizowana, ale strach był, przerażenie było, lęki były. Przede wszystkim kobiety bardzo przeżyły, to pamiętam płacz mojej żony wtedy, mojej matki, kiedy Sławentyn płonął i kiedy ginęli tam ludzie, i kiedy już dowiedzieliśmy się o tym, to matka bardzo płakała, tak samo zresztą to przerażenie rysowało się w twarzach i mojego ojca, później dziadków i innych. To były straszne dni. To był początek tych mordów. Później gdybyśmy chcieli chronologicznie, to oczywiście te mordy w sposób jak gdyby taki rozsiany rozciągały się na inne powiaty, na inne województwa i szły od wsi do wsi, ale mówimy tutaj, i to jest bardzo ważne, i tego pojęcia trzeba było użyć, to były mordy masowe, to były masowe rzezie, nie pojedynczo, bo pojedyncze mordy już były wcześniej w różnych miejscach. Tam kogoś zabili, tam komuś głowę odcięli, tam komuś porąbali ręce, tam komuś wydtubali oczy, tam komuś język odcięli. Ale to co się stało teraz, to było masowe. Czyli jak była grupa Polaków w danej wsi, to trzeba było całą grupę Polaków wymordować, chyba że ktoś uciekł. Byli tacy, co uciekli, co się chowali, co udawało im się skryć. No i co się dalej działo? To jest wrzesień 1939 roku, są te mordy od 17 września i wiemy, że już jest nieszczęście. Równocześnie jest to drugie nieszczęście. Sowieci napadli na Polskę, na Kresy, i zaczynają robić swoje porządki. A już coś niecoś wiedzieliśmy o Sowietach, wiedzieliśmy, że zakładają kołchozy, wiedzieliśmy, że niszczą religię, wiedzieliśmy, że niszczą kościoły, i to się zaczęło dziać także w naszych okolicach. Zaczęli tworzyć swoje władze. To, co było takie naoczne, widoczne, do zobaczenia, to były te straszne sceny z powitaniem żołnierzy rosyjskich, kiedy Ukraińcy z entuzjazmem, z kwiatami rzucali się na szyję żołnierzom rosyjskim wchodzącym do wiosek. Podobnie zresztą Żydzi zachowywali się z entuzjazmem. I Żydzi, i Ukraińcy witali z entuzjazmem armię rosyjską wchodzącą na te ziemie. No i zaczęły się te porządki rosyjskie. Zakładanie kołchozów, niszczenie religii, w szkole język rosyjski, nauka po rosyjsku, inni nauczyciele, inne zachowania, inne obyczaje, inne tradycje. Polacy byli bezradni, nie mogli nic zrobić, nie mieli siły, nie mieli swojego wojska, nie mieli swojej policji, żeby przeciwstawić się tym nowym agresorom. No i to tak trwało, czyli 1939 rok.

Artur Kłus: Jeszcze pan wspominał w swoich książkach przy tym 1939 roku opowieść matki związanej z popem i z kościołem. Chodzi mi tutaj o to, że święcono te noże i...

Stanisław Srokowski: Tak.

Artur Kłus: Może pan o tym opowiedzieć?

Stanisław Srokowski: To ja do tego dojdę. Takie większe doświadczenie związane z tragedią wsi to nastąpiło dopiero w 1943 roku, wtedy, kiedy już zaczyna płonąć Wołyń, to w naszej wiosce zdarzył się taki wypadek. Do wioski przyjeżdża wóz, na tym wozie jest czterech mężczyzn i jadą prosto do naszego księdza, Kowalczyka, na plebanię. Przyjeżdżają do tego księdza Kowalczyka i szukają go, ale jego na plebanii nie ma. Jest natomiast jego siostrzeniec,

osiemnastoletni chłopak, którego znałem, którego znałem wtedy dobrze, bo on często tam się pojawiał. Stasiu Rybicki. To był siostrzeniec księdza Kowalczyka. Ponieważ księdza nie było, to ci mężczyźni, przedstawiający się jako urzędnicy państwowi, którzy przyjechali po księdza, bo podobno miał tam jakieś zaległości i chcieli z nim tę sprawę uregulować, a że go nie było, to postanowili zabrać tego Stasia Rybickiego, do urzędu, jak mówili. Wsadzili go na stół i pojechali. I ponieważ to był czas zbierania tytoniu, październik 1943 roku, to ludzie, mężczyźni zbierający tytoń na polu, widzieli jadący wóz i wiedzieli, że w pewnym momencie ten wóz się zatrzymał, Stasiu Rybicki zszedł z tego wozu, a mężczyźni, którzy razem z nim byli na tym wozie, również zeszli, wyciągnęli sznur i nałożyli mu na głowę pętlę, i sznur przywiązali do wozu. Z powrotem wsiedli na wóz i ruszyli. On biegł za tym wozem i ludzie zbierający tytoń widzieli ten obraz, z naszej wsi. Widzieli ten obraz, patrzyli, no ale byli bezradni. Byli dość daleko, ale widzieli to. I ten Stasiu biegł do jakiegoś czasu, kiedy wóz się znalazł blisko lasu, Rybicki padł i widok zniknął, ponieważ wóz wjechał do lasu i ludzie ze wsi, nasi ludzie, nasi chłopcy, którzy zbierali ten tytoń, już nie wiedzieli, co dalej się działo. Wiedzieli natomiast ci, którzy mieszkali tam, gdzie ten wóz zniknął, niedaleko lasu. Tam była jakaś kolonia polska i tam był taki staw. I ludzie ci tej nocy opowiadają, co się zdarzyło. Ta opowieść później przeniknęła dalej, ona dotarła także do mnie. Mówią, że tej nocy, kiedy szli spać, usłyszeli jakieś wycie. Myśleli najpierw, że to wyją zwierzęta, później usłyszeli płacz, jęki, krzyk, ryk. Zrozumieli, że to nie zwierzę, tylko człowiek. Ale bali się wejść do lasu, bo w lesie było niebezpiecznie. Słyszeli tylko to. Ryk był tak przerażający, że ludzie tej nocy nie mogli spać. Kiedy z następnego dnia obudzili się, który z nich zauważył w tym stawie, który znajdował się obok, ciało. Wieść o tym, że w stawie leży nagi człowiek, bo był nagi, rozeszła się bardzo szybko, dotarła do Hnilcza, bo to było niedaleko, i chłopcy z Hnilcza wzięli furmankę, przyjechali nad ten staw i rozpoznali, że to jest Stasiu Rybicki, w strasznym stanie. Miał wydłubane oczy, odcięty język, odcięte genitalia, ciało było poranione. Zabrali go, zawieźli na plebanię, położyli ciało na drzwiach od stodoły i ludzie zaczęli się tam gromadzić. Tak że moja matka zabrała mnie i poszliśmy, żeby zobaczyć, co się stało. To był rzeczywiście przerażający widok. Chłopiec bez oczu, pokrwawiony, oczywiście już był przykryty, ale dodajmy jeszcze, że ludzie ze wsi, którzy zabrali go, przez chwilę rozglądali się po tym lesie, po początku tego lasu, i zauważyli dwa dębczaki, czyli młode dęby, i na tych młodych dębach były sznury, dwa sznury, czyli był związany, widać z tego było, od razu pomyśleli, że to był Stasiu tutaj związany, i co ciekawe, kora na wysokości ust była nadgryziona, jednego dębczaka i drugiego. Czyli był tak męczony, był tak straszliwie doświadczany tym cierpieniem, tym bólem, że gryzł drzewo. Z jednej strony było drzewo pogryzione, i z drugiej. Więc można było sobie wyobrazić, że po prostu zwracał głowę w jedną i drugą stronę i gryzł to drzewo. Tak że to był taki już pierwszy przypadek, który dotknął naszej wsi. To była pierwsza ofiara zbrodni ukraińskich, 1943 rok. Ale to jeszcze nie był masowy mord. 1943 rok.

Artur Kłus: To było jeszcze ognisko, że on był jeszcze przypalany?

Stanisław Srokowski: On był jeszcze przypalany, tak. Gdybym chciał dokładnie opowiadać, to naprawdę wszystko jest bardzo groźne. Był jeszcze przypalany, mówiło się o tym, że te ślady na ciele to były rzuty nożem, że po prostu, kiedy on tam stał uwięziony, to Ukraińcy bawili się, rzucali z niego nożami, dlatego były te ślady na piersiach. Więc był przypalany, był męczony, dręczony. Przeżył gehennę. No a później oczywiście to wszystko spadło na nas jak piorun z jasnego nieba i wieś była pogrążona w żałobie, odbył się pogrzeb no i Stasiu został pochowany. Ksiądz Kowalczyk uciekł, wiedział, że na niego czyha śmierć. Uciekł, wyjechał do Lwowa, o ile mi wiadomo, i później pamięć

o nim zaginęła. Tak się skończył ten już konkretny przypadek dotyczący konkretnego wydarzenia w naszej wiosce. Więc przedtem był Sławentyn, Szumlany, Boków, inne wioski, a później już ta śmierć, to nieszczęście dotarło do Hnilcza bezpośrednio. To nie był koniec. Zaczęły się mordy indywidualne. Ludzie ginęli. Ktoś pojechał do lasu, nie wrócił. Ktoś pojechał na łąkę, nie wrócił. Ktoś był na dalekiej drodze, nie wrócił. Ale to były ciagle pojedyncze przypadki. To jeszcze nie było palenie, to jeszcze nie było niszczenie wsi. Ale to już trwało. Czyli wieś była w atmosferze strachu, grozy, przerażenia. To był bardzo ciężki do zniesienia czas.